



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

WAKACYE.

Wakacye to nie tylko czas fizycznie potrzebnego odpoczynku dla uczącej się młodzieży. Szkoła oddaje ją niejako rodzinie, której obowiązkiem jest zrozumieć to, i wpływy, które za jej pośrednictwem dziecko odbierać powinno, uczynić pożytecznym czynnikiem wychowawczym. Celem wychowania jest przebudzenie w człowieku wszystkich stron jego istoty moralnej i intelektualnej. przez które żyłby całą pełnią życia, zwróconego w kierunku szlachetnych zadań swoich wśród ludzkości. Angielski myśliciel, Spencer, ostrzega rodziców, matki zwłaszcza, że nie może to być jedyne dzieło miłości — że potrzeba tu jeszcze obok dobrej woli, i tej wiedzy pedagogicznej, która rozumnie środki działania wychowawczego wskazuje, i dla tego-to pisze on tak wiele o edukacji, nie ulegając przecież temu złudzeniu, aby plan skreślony na papierze zdołał już uczynić wychowanie dobrem. Uważa on tylko za złe podsuwanie rodzicom wskazówek, wskutek których przewodniczyć-by im mogła myśl nakazująca nieposzanowanie praw natury, to jest charakteru — kierunku zdolności dziecka, których despotycznie nie godzi się zatłumiać, bo w ich rozwijaniu się naturalnym tkwi już zarodek wolnej woli człowieka i zdolności panowania nad sobą, co z konieczności zatłumionem zostaje, skoro rodzice zrozumieć i w wychowaniu uwzględnić tego nie zechcą.

Gdyby nas zapytano: jak określić można zdolność człowieka do samodzielnego czynu? — należało by odpowiedzieć także za Spencerem, że jest to siła, która celu swego chce dopiąć, i zatłumiać to w dziecku znaczy siłę tę obniżać — nie pozwalając

jej, aby się rozwijała; należy też jedynie czuć, aby rozwój ten brał kierunek dobry. Jeżeli wola nasza jest moralnej naszej istocie w działaniu swem posłuszną — jeżeli rozwija czynność swoją na podstawie pewnych przekonań, staje się motorem życia dobrym i rozumnym, a czyny, jakie z niej wypływają, uszlachetniają człowieka, bo charakter jego psuje się, albo podnosi w miarę, jak człowiek zarządzając życiem swoim, kroczy stroną jego prawą lub lewą.

Nie ma takiego czynu w zakresie życia zmysłów lub ducha, któryby się nie odbił na całej istocie naszej, i z tego-to względu nawet fizyczna edukacja dziecka oddziałuje wpływem swoim na moralne i intelektualne jego życie. Zdanie, że w naturze nic nie ginie, odnosi się najdokładniej do wychowania. Wszystko to, co dziecko za pośrednictwem wychowania tego odbiera, łączy się wpływem swoim z istotą jego moralną, którą urabia, i nie ma też takiego czynu w zakresie ducha lub zmysłów, któryby nie odbił się na istocie młodej, nie oddziałał na nią. Dla tego to teoria musi się tu łączyć z praktyką, i nie dość jest wykazywać dziecku: co jest dobrem, i cnotą — jaką jest waga spełnionego obowiązku; ale trzeba aby odczute to przezeń było w następstwie tych skutków, które rodzi złe, lub dobre. Należy też przedstawić dziecku ideał do bra w przykładach otaczającego nas życia i zarazem poddać je niejako karności naturalnych skutków spełnionego czynu — reakcyi tego, co dokonaniem zostało. Młodość pierwsza nie zna dokładnie różnicy między złem a dobrem, wiedza tego prawdziwa nie może być zdobytą za pośrednictwem teorii — słów, które ulatują, których znaczenia dziecko dokładnie nie rozumie, bo trzeba znać życie, aby obrazy jego oddane przez słowo jasno nam się przedstawiały. Tak zwana nauka pogładowa, nauka o rzeczach, która zapoznaje dziecko z otaczającymi je przedmiotami za pomocą zmysłów widzenia, słyszenia, dotykania, spełnia się i w za-

kresie moralnym dla młodzieży, skoro ta widzi skutki złych czynów.

Nie można przecież od istoty niedojrzałej żądać doskonałości, która jest owocem długiej pracy ducha, zwrotu tego na siebie, na jaki tylko przy znajomości prawdziwej życia i jego celów człowiek zdobyć się może. W tym czasie wakacyi, które dają uczącej się młodzieży pełniejszą wolność działania, rodzice powinni przede wszystkim haczyć na objawiające się skłonności i upodobania jakie w tym wieku już się zaznaczają wyraźniej, i według tego dawać wychowania kierunek, który przecież nie powinien być zbyt ciasno krępującymi karbami. Trzeba dać istocie mającej w przyszłości rządzić się wolą swoją możność wyrobienia w sobie woli onej, bo wszakże jest to wychowania celem najwyższym, aby ją wytworzyło w człowieku — aby mu dało przekonania, bez których jest on nicością moralną.

Samodzielność objawiająca się w dziecku jest oznaką, że myśli ono już i czuje, że zatem ma w sobie te siły, których mocą żyć będzie człowiek, i rodzicom należy jedynie pilnować: w jaką stronę się te siły zwracają? Trzeba przecież wobec tego obliczyć im się, zali podołają zadaniu? Wymaga ono niemałej pracy, niemałego poświęcenia własnej swojej istoty, ale jest to już powinność, z pod której wyłamywać im się niewolno. W nauczaniu może być zastępstwo; wychowanie, pod karą winy nie spełnionego obowiązku, należy do rodziców, z których dwojga każde ma swój dział, układający się przecież harmonijnie w kierunku jednych dążeń i pragnień dla przyszłości dziecka żywionych. Brak silnych przekonań w rodzicach jest tu wielkim nieszczęściem, bo tylko na tej podstawie przekonań może się wyrobić ta energia, bez której kształcenie dziecka moralne chwiejnym jest i powierzchownem.

Trzeba też rodzicom mieć pewien plan dla przyszłości dziecka skreślony — cel, do którego przystosowywać powinni działanie wychowaw-

eze. Jakim on ma być... to rzecz ważna. Rousseau odpowiedział w krótkości na to zagadnienie: „Trzeba z dziecka zrobić człowieka, bo człowiekiem być jest ogólnym powołaniem wszystkich ludzi...“ Jak przecież dążyć do tego celu, który w różnym oświetleniu pragnień naszych i pojęć o życiu przedstawia rozmaite kształty ludzkości? Być człowiekiem uczciwym to podstawa rzeczy, i wychowanie nietracące zprzed oczu tego najwyższego celu swego już jest wychowaniem dobrem.

Dziecko, wzrastając, już dowiadywać się powinno, że oczekują je obowiązki wyższe, niżeli zadolenie chęci i potrzeb własnych: obowiązki względem bliźnich i tego postępu, który jest dążeniem człowieka do doskonałości. Trzeba mu zatem wykazać, że nie może zamknąć się wyłącznie w ciasnym kole prac i interesów osobistych.

Nawyknięcia—to niekoniecznie ta siła bierna, która nas bezmyślnie naprzód popycha. Nawyknięcia urabiają indywidualność naszą przez odciśnięcie wywieranych na nią wpływów swoich, i dla tego wychowanie w kierunku dążeń szlachetnych inaczej kształtuje istotę ludzką, niż wtedy, gdyby jej kazano chodzić od młodu wązkiemi ścieżkami życia, wiedzącymi do egoistycznych tylko celów. Trzeba rozbudzić już w dziecku moce uczuć szlachetnych, lecz teoria sama nie podola temu; obrazy życia podniosłe wiedzionego, obrazy enoty i spełnionego obowiązku, są najlepszą i niemal jedynie skuteczną siłą oddziaływania pod tym względem; matki powinny o tem pamiętać.

Wakacje dają czas i sposobność przytulenia sobie dzieci do serca i ogrzania ich tem ciepłem miłości macierzyńskiej, której nie zastąpi, bo ona-to uczy je czuć, uczy kochać.

M. I.

TAJŃ.

Franciszkowi Siedleckiemu.

Jak w półzartym starym palimpseście,
Gdzie warstwy pisma krzyżują się, płaczą,
W człowieczym wzroku, słowie, myśli, geście
Tajń skryta wiecznie pod widną oponczą.

I głoski zwierzchnie oko czyta rąco,
Ale gdy w głębsze sięgać pocznie treścię,
Wnet: „niemasz drogi!“ błysnie mu gorgończo,
Jak w półzartym starym palimpseście.

W ust nawet starca spowiednym szeleście,
W dziecku, co duszę wyśpiewa skowronczo,
Zawsze kres błędny spotkać musisz wreście,
Gdzie warstwy pisma krzyżują się, płaczą.

I wmawiasz w siebie, że światy się kończą
Tam, gdzie twa wiedza, że—nędzny proteście!—
Nic więcej nie masz nad żądź sforę gończą
W człowieczym wzroku, słowie, myśli, geście.

I dumnie stąpasz, niby w znanem mieście,
Licząc, jak drogi, zaułki się łączą.
W tem w błysków nagłych lśni ci manifeście
Tajń skryta wiecznie pod widną oponczą.

O duchu! z kąd się źródlika tve sączą?

Światłości, rytmie, istoto — o, gdzieście?

Snadź gdzieś bezmierne się tęcze kabłączą,

A nam skry jałmużn jeno brać po kweście,

Jak w półzartym starym palimpseście!...

Miriam.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg).

XXI.

— Ja sam tylko pojedę na ślub Stacha, Kloteczko—mówi p. Bielowski do żony, pokazując zapraszającą depeszę.

— Nie można przerywać kuracyi Halince i ciebie fatygować.

— Kiedy ja właśnie mam ochotę jechać... — odparła żywo p. Klotylda. — Narzeczona lubi się bawić. Wesele będzie huczne. Halinka się rozowie...

P. Bielowski przeraził się.

— Ale—bo widzisz... uważasz duszko... ja tego... ja bym wcale was w podróży mieć sobie nie życzył. Droga daleka, podróż w kilka osób kosztowna. Zresztą idzie mi o Halinkę... Mizerna, apetytu nie ma. Nie trzeba jej narażać na trudy podróży.

— Zostaw to mnie, *mon cher* — rzekła kwaśno p. Klotylda. — Wiem najlepiej czego Halince potrzeba. I tak miałam zaproponować ci zmianę: za długo tu siedzimy. Hala, nie prowadzi żadnej ściśle kuracyi a kąpiele, które tu bierze, może równie dobrze brać gdzieindziej... Uważam, że i ona już czuje się znudzona. Zobaczysz: z jaką radością przyjmie projekt powrotu do kraju. Na zimę możemy pojechać do Rzymu...

— Ale ja na to nie pozwolę! — zawołał zniecierpliwiony Bielowski. — Hala na wesele jechać nie może...

— Dlaczego?—p. Klotylda wpatrzyła się w niego badawczo.—Racz mi objaśnić, mój drogi! Sądę, że mam niejakię prawo...

Nie myślał jej praw tych zaprzeczać, ale wydawać serdecznej tajemnicy dzieweczcia na łup chłodnego rozsądku egoistycznej kobiety, nie miał bynajmniej ochoty.

— Moja Klociu, zrób to dla mnie i nie upieraj się—rzekł wymijająco.

— Jeżeli chcesz, to i ja nie pojedę, choć czuję, że mam poniekąd obowiązek. Stanisław nie ma ojca, nie ma nikogo z bliższych krewnych... Należałoby jechać.

P. Klotylda podniosła się z kanapki, z chmurą na czole, i stanęła przed mężem.

— Zdaje mi się, że coś ukrywacie przedemną. Hala jest dziwna jakaś i ten wyjazd tutaj... Wiem przecież, że nie dla ciebie, bo zawsze ci zdrowia zazdroszczę... Coś w tem jest!...

Bielowski odwrócił się szybko. Prawa jego natura nie pozwoliła mu wytrzymać wzroku żony.

— Wierzaj mi—zaczął nieśmiało.—Nie ważnego niema. Hala trochę niezdrowa...

— Tylko nie zaprzeczaj—odparła wyniosło.—Sprawdzają się moje przeczucia. Ten twój pieszczołek wszystkiego przyczyną. Halina rozko-

chała się w nim widocznie, i ztąd choroba i kłopot w domu. Nie mówiłam, że tak będzie? Poznałam się odrazu na jego wartości, tylko, że z wami dysputować nawet w tym przedmiocie nie podobna było.

— Moja Klociu—próbował bronić się p. Bielowski.—Sama nie wiesz co mówisz... Rozdrażniona jesteś...

— Zapewne! — odejęła się ostro, na dobre już rozgniewana p. Klotylda. — Slicznie pokierowałeś przyszłością Haliny! Te twoje idealne, obywatelskie poglądy przewróciły w głowie dzieweczynie. Mogła i powinna była świetną partją zrobić!...

— Sądę, że niema nie straconego—odparł Bielowski — Halka jest tak młoda... Nie miałaś zamiaru chyba wydać jej teraz za męża? Zresztą... o co my się sprzeczamy? Zaczęliśmy mówić o moim wyjeździe i — pozwól powiedzieć sobie, Kloteczko, że w tym jednym jedynym wypadku wolę swoją przeprowadzić muszę. Albo pojedę sam, albo nie pojedziemy wcale.

Chciał pocałować rękę żony, ale żona wyrwała mu ją z gniewem.

— Rozmówię się dziś jeszcze z Haliną i wybiję z głowy niepotrzebne amory,—rzekła wzburzona.—Widzę, że muszę usunąć ją nieco od twego wpływu.

— Nie uczynisz tego—odparł stanowczo p. Bielowski.—Być może, iż przypuszczenia twoje mają jakąś podstawę, więc Halinkę trzeba oszczędzać. Moja droga Klociu, uspokój się, proszę cię—dodał serdeczniej.—Po co mamy martwić się i irytować wzajemnie. Jeżeli sobie życzysz, to i ja nie pojedę i nie mówmy już lepiej o tem weselu. Ukryć tego przed Halą niepodobna, ale też niema potrzeby zbytnio się w jej obecności nad tym przedmiotem rozszerzać. Zonusia sama przyzna mi racją, gdy się uspokoi.

P. Klotylda nie uspokajała się tak łatwo. Nie odpowiedziałwszy mężowi ani słowa, chmurna i nadasana, wyszła z pokoju.

— Hm... hm!.. Twardy orzech do zgryzienia ta moja pani—mruknął do siebie Bielowski.—Nigdy jakoś porozumieć się nie możemy. Niechby mi tylko Halunię zostawiła w spokoju. O weselu tylko ja mogę jej oznajmić. Kocha mię bardzo moja dzieweczyna i odemnie przyjmie tę wiadomość spokojniej...

Poszedł szukać Haliny i znalazł ją w ogrodzie, siedzącą beczynnie wśród mnóstwa kwiatów, których żywe barwy prosiły się niemal, by je ułożyć w bukiety. Wzrok Haliny atoli biegł daleko od otoczenia, w którym się znajdowała. Bezdenie smutny, z natężoną uwagą, ścisnął białe żagle parowca, prującego szybko wodę. Jeszcze chwil kilka... chwila jeszcze... ciemny punkcik zamajaczy na widnokręgu, by potem zniknąć jej z przed oczu i popłynąć daleko, daleko, tam — dokąd cała dusza patrzącej się wyrywała.

Halina okropnie tęskniła; przymus, jaki sobie zadawała, by ukryć tęsknotę przed rodzicami, męczył ją niesłychanie. Pracowała nad sobą usilnie, chciała tak, jak przyrzekła Stanisławowi, gorącą swą miłość, na spokojne, siostrzane uczucie zamienić, ale nie mogła.

P. Bielowski, idąc ku niej po źwirze usypanej alei, wdychał rozpacznie. Błada twarz Haliny, przytulona do szarej kory drzewa, pod którym siedziała, wydała mu się zmienioną i smutną.

— Co tu moja Haluś robi?—wołał już zdaleka, aby się nie przestraszyła.—I dlaczego sama? Gdzie jest Elżbieta? powinna czuwać zawsze nad tobą; mówiłem już o tem niejednokrotnie.

Halina drgnęła, jak człowiek ze snu zbudzony.

— Gniewasz się, ojezulku? — pyta.—Czy to na mnie?

— Uchowaj Boże—zaprzeczył żywo.—Gniewam się na Elżbietę, że jej niema przy tobie. Nie lubię, gdy siedzisz tu sama.

Ucałował białą twarzyczkę córki i usiadł przy niej.

— Matka mówi, że rada-byś wracać do kraju, Halko — rzekł, patrząc jej w oczy. — Czy to prawda?

Słaby rumieniec przesunął się błyskawicznie po jej licu. Uśmiechnęła się smutno i przymrużyła szafirowe oczy.

— Prawda, ojezulku — odparła szczerze. — Też skno mi za domem, za ciocią... Miałam tam swoje zajęcia, swoje przyjemności... Byłam nawet o wiele zdrowszą, aniżeli tutaj.

P. Bielowski przyglądał jej się bacznie. Istotnie, zmierzniała więcej jeszcze i polepszenia oczekiwanego przez lekarzy wcale widać nie było.

— Gdzież panią chciałyby jechać? — spytał lekliwie. — Proszę oznajmić, a życzenie spełnione będzie natychmiast. — Usiłował żartować, ale w sercu miał trwogę bezmierną.

Nadbiegająca Elżbieta przerwała rozmowę.

— Jasnie pani pyta o panią — rzekła. — Jasnie pani prosi do siebie...

— Dobrze, dobrze — odparł p. Bielowski. — Powiedz, że ja tu jestem z panią i przyjdziemy wkrótce.

Elżbieta odeszła, Bielowski do córki się zwrócił.

— Matkę pobyt tutaj znudził już okropnie — rzekł. — Posprzecaliśmy się właśnie, bo ja chciałem na parę tygodni wpaść do domu a was tu zostawić. Ale jak to z matką... uprze się, i rady niema.

— To jedźmy wszyscy, ojezulku! — zawołała Halina ożywiona. — Nic nie wiemy, co się tam dzieje... Listu dawno nie było... Czy tylko ciocia nie słaba?..

— Zdrowa zupełnie — odparł ojciec. — Dziś... dziś właśnie... miałem depezę z Kamieniec — zaczął.

— Depeszę?... Cóż się stało?

Halina rozszerzonymi trwogą oczami spojrzała na ojca.

— Nie ważnego, dziecko, a raczej nie niespodziewanego — odpowiedział coraz bardziej zmieszany. — Stach telegrafował z zaproszeniem... Bardzo sobie życzy, abym przyjechał..

Pojęła wszystko w jednej chwili. Bolesny kurecz ściągnął bladą twarz, powieki ciężko opadły i zakryły przed ojcem, osłupiałe, prawie obłąkane oczy.

— Aaa! — zawołała, automatycznym ruchem niosąc rękę do czoła. — Więc to zaproszenie na ślub? I kiedyż to, ojezulku?..

Jakże blade były usta, które zadały to pytanie! Biednemu ojcu serce rwało się z bólu; nie śmiał prawie spojrzeć na dziecko.

— Wkrótce... — jękał się, nie wiedząc sam co mówi. — Za parę tygodni... Szkoda, że to w tym czasie, kiedy ja jechać nie mogę...

— Dlaczego, ojezulku?

Podniosła się żywo z kanapki i wyprostowała, jakgdyby chciała pokazać się ojcu zdrową i mocną.

— Dlaczego nie masz jechać? Stasiowi byłoby bardzo przykro i miałby pełną rację... Mnie tu dobrze i wcale nie pragnę wyjechać. Patrz, ojezulku, jak tu ślicznie. Morze takie szafirowe... zapach kwiatów aż odurza...

Mówiła prędko, gorączkowo, myśli znać uciekały daleko i zapomniła, że przed chwilą domagała się wyjazdu.

Ojciec pragnął jaknajśpieszniej zakończyć tę rozmowę.

— Pomówimy jeszcze o tem — rzekł — Boli mię trochę głowa i te bóle reumatyczne znowu się przypomniały. Trzeba-by wziąć proszek i położyć się nieco. Możebyś przeczytała mi gazetę, Haluniu? Odpocząłbym trochę, leżąc...

Chciał zwrócić jej uwagę na siebie i udało mu się. Westchnęła cichutko i wsunęła rękę pod ramię ojca.

— Dobrze, ojezulku, — szepnęła zmęczona. — Pójdę na chwilę do mamy a potem będę czytać... Chodźmy.

Przeceniła jednak swoje siły. Ledwo uszli kilka kroków, głowa jej opadła na ramię ojca bezwładnie i silne jego ręce uniosły ją do domu zemdloną.

Było przedtem trochę sporów, trochę kwasów; p. Dolewska, napuszona do niemożliwości, kładła wszędzie swoje zdanie, ignorując umyślnie Kamieniecką; ta ostatnia jednak, z wrodzoną w sobie delikatnością, ustępowała, chociaż niejednokrotnie dotknięta się czuła do żywego.

Lila też się nie krępowała. Zdawało jej się, że teraz już powinna zaakcentować swoje niepodległość, i zaczęła od tego, że sprzeciwiała się we wszystkim Stanisławowi, a względem jego matki ledwo na chłodną uprzejmość zdobyć się potrafiła. Ale była mimo kaprysów czarująca. Gdy przeciągnęła strunę, umiała się tak przymilić Stanisławowi, że oszołomiony biedak zapominał o wszystkim, pokorny jak niewolnik.

— Gdzie chcesz pojechać, najdroższa? — pyta na kilka dni przed ślubem, bawiąc się ciemnymi loczkami rozrzuconymi na czole narzeczonej. Zamyśliła się.

— Wiedeń, Paryż, Rzym, Neapol — zaczęła liczyć wreszcie na palcach. — Posuniemy się i dalej... Chcę zwiedzić starożytny Egipt, zobaczyć fosforescencyą Nilu, podumać pod piramidami. — Uśmiechała się, oczy iskrzyły się radością.

— Musimy też oddać wizytę bawiącym na obczyźnie twoim krewniakom — rzekła poważnie. — To przedewszystkiem.

Stanisław spojrział na nią zdumiony.

— O kim mówisz, Lili? — pyta. — Gdzie i kogo mamy odwiedzić?

— Bielowskich, naturalnie — odparła, kryjąc złośliwy uśmiech. — Nie mogą przyjechać na wesele: wpadniemy do nich i zrobimy niespodziankę. P. Halina się ucieszy, jestem tego pewna!..

— Żartujesz chyba — rzekł zachmurzony Stanisław.

Lila niejednokrotnie już napomykała mu o Halinie w sposób bardzo złośliwy i dający poznać, że uczucia jej nie są dla Lili tajemnicą.

— Wcale nie żartuję!.. Przecież im się to należy. Ani myślę odstąpić od zamiaru zobaczenia p. Haliny w roli opuszczonej Aryadny.

Stanisław ledwo gniew pohamował.

— Lili — szepnęła z żalem. — Lili moja, dlaczego ty to mówisz? Moznaby przypuścić, że nie masz serca, że nie umiesz odczuć cierpień, które innych dotykać mogą...

— Ale co ty w tem złego widzisz, mój Stasiu? — rzekła, przechodząc nagle w ton żartobliwy. — Czy z tobą żartować nie można? Dąsasz się, sam nie wiesz czemu. Pojedziemy, bo to się krewnym twoim należy; co zaś do opuszczonej Aryadny, był to żarcik niewinny. Czy mój pan raczy się przeprosić? — zrobiła pokorną minkę. Stanisław się pochylił i pocałował śliczne usteczka.

— Ej Lili, co ty ze mną wyrabiasz! — rzekł tkliwie. — Tym razem jednak musisz mi ustąpić. Byłoby to wielkim nietaktem z naszej strony, gdybyśmy się narzucali teraz Bielowskim. Mój aniołku, nie mówmy już o tem; powiedz mi raczej: czy długo myślisz zabawić w Wiedniu? Chciałbym zamówić mieszkanie, aby pani moja nie uczuła przykrości hotelowego życia. Dla mnie jest ono poprostu wstrętne...

— A ja przeciwnie, bardzo je lubię... — odparła. — Ruch, wrzawa, ciągła zmiana, ciągle nowe twarze... To właśnie największy mój dla mnie urok.

— Nie zgadzamy się zatem w gustach — rzekł trochę smutno Stanisław. — Oczywiście, zrobię jak chcesz.

Spojrzała mu w oczy i ruchem pieszczonej kotki musnęła dłonią po twarzy.

— Dobry jesteś — szepnęła — bardzo dobry.

— Wolałbym usłyszeć co innego — odparł rozmarny. — Powiedz, że mnie kochasz... Powiedz Lili!..

Nie chciała. Miała swoją taktykę w postępowaniu z mężczyznami i nie odstępowała od niej ani na jotę.

— Zawsze ich drażnić, zawsze kazać im się czegoś spodziewać... to najlepszy systemat — filozofowała.

Z natury była zimną; gorące porywy uczucia sercu jej obce były zupełnie; przychodziło jej więc z łatwością odbierać dużo, samej nic nie dając.

Gdy w popielatym, wyszukanie eleganckim i kosztownym kostiumie młodej mężatki, postawiła nóżkę na stopniu karety nazajutrz po ślubie, i przeszłość i Stanisław prawie nie istniały dla niej. Ciemne oczy gorzały świetnym połyskiem; czerwone, wilgotne usta rozchyłaly się pragnieniem użycia tych rozkoszy, o których śniła od dawna. Męża uważała jako dodatek nieodbitnie potrzebny. Wiedząc, że go posiada, nie kłopotowała się już tem, że może go utracić.

— Jedźmy już, jedźmy! — wołała niecierpliwie, rzucając machinalnie słowa pożegnania otaczającym. — Spóźnimy się na pociąg!.. Tylko proszę cię, babciu, nie płacz... Ronisz ży jak nad umarłą... — dodała, widząc że p. Dolewska może pierwszy raz w życiu, płakała szczerze, żegnając się z wnuczką.

Wzrok p. Kamienieckiej, stojącej w ganku, zatrzymał się na twarzy młodej pani. Jak lodowato w tych pięknych ustach brzmiały słowa z nastrojem chwili nieliczącej! Każdy był wzruszony, przejęty, ona tylko, Lila, obojętna, nie żalująca nic i nikogo. Odjeżdżała, nie wiedziała kiedy powróci; nie miała jednak serdeczniejszego słowa lub spojrzenia, nawet dla tej, która ją wychowała.

Westchnienie ulżyło przygniecionej piersi pani Kamienieckiej. Z nieopisanym wyrazem zwróciła wzrok na syna.

— Obyś był szczęśliwym! — szepnęła, tuląc głowę jego do piersi. — Nie zapominaj o matce!..

Łzy ją dławily; rozrzewniony Stanisław całował jej ręce; Lila z trudnością tłumila gniew.

— Dostyc, dostyc — wołała, śmiejąc się ironicznie. — Nie wyjeżdżamy przecież nazawsze... Mama przyjedzie do nas z babcią, gdy sobie „locum“ gdzie oberzemy. Do widzenia, do widzenia!

Odjechali.

Kamieniecka usunęła się szybko do ogrodu. Wzrok jej gonił tumany kurzu, jakgdyby chciał je przebić i ujrzeć raz jeszcze twarz ukochaną. Uczuła się naraz taką samotną, opuszczoną! Nie była to zazdrość, rodząca się w sercach matek, gdy dziecię zpod ich skrzydeł frunie w świat, chciwe nowych wrażeń, uczuć innych, zwykle silniejszych niż pierwsze; była to trwoga i ból głęboki. Ta zimna egoistka, niebezpieczna czarem, jakki wywiera, tuli się teraz do piersi młodego męża, dlatego jedynie, by zatrzeć co rychlej w jego pamięci chwile pożegnania. A nie czyni tego bynajmniej rozczulona jego smutkiem, ale wprost dlatego, że ona, i zawsze tylko ona, musi być na pierwszym planie.

— Nie wiem kiedy wrócimy — powtarzała niejednokrotnie Lila na zapytanie matki. — Będzie to zależeć od tego: czy podróż mi nie znudzi. W każdym razie nie prędko...

P. Kamieniecka przypominała sobie właśnie te bezlitosne słowa. Ani jednej myśli dla matki, która jej cały swój skarb oddała; najłżejszego przypuszczenia: czy ta długa rozłąka nie będzie dla niej za ciężką. Przeczynała, biedna, że upór Lili, słodyczą zaprawny, będzie zawsze murem matkę od syna oddzielał.

— Oby tylko Staś był szczęśliwym! — szeptała, wracając po nużającej przechadzce do pałacu. Chciała jaknajprędzej ztąd uciec i konfidencyonalny sposób zaproszenia p. Dolewskiej nie odniósł skutku.

— Będzie nam łatwiej pocieszać się razem — mówiła napuszona p. Dolewska. — Kiedy my ich zobaczymy? Obiecałam Lili, że przyjadę zamieszkać z nimi, gdy się już gdzie na stałe ulokują. Lila nie ma zamiaru wracać do kraju.

— Stanisław ma tu jednak ważne obowiązki — odparła przykro dotknięta Kamieniecka. — Wątpię, czyby się zgodził!..

P. Dolewska roześmiała się.

— To nic! — odparła. — Lila zawsze robi co zechce. Proszę, niech pani nie zapomina o mnie — dodała uprzejmie. — Jesteśmy teraz tak blizkim węzłem powinowactwa związane...

P. Kamieniecka szepnęła coś niezbyt wyraźnie i, uścisnąwszy chłodno rękę p. Dolewskiej, odjechała.

— Nie bardzo ty rada z tego pokrewieństwa, napuszona arystokratko — mruknęła stara. — Już by też nie wiem czem była Lila, gdyby cię nie

Ślub Stanisława z Lilą odbył się z niesłychanym przepychem w Zagórowie. Zjazd był bardzo liczny, a piękniejszej panny młodej — jak mówiono jednogłośnie, — dawno nie pamiętano.

odczyta tych pańskich min i zadzierania nosa! Ale co ja teraz będę robić? Z odjazdem Lil, wszelka wesołość ztąd uciekła. Pewna jestem że nikt nie zajrzy...

Poszła do swego budoaru i w parę chwil potem napisała do dawnej swej przyjaciółki, mieszkającej w Kaliskiem, aby prosiła swego męża o wyszukanie kupca na Zagórowo.

— Nie mogłabym tu wytrzymać, odkiedy Lila moja fruwała w świat — skarżyła się. — Gdy się kłopotu z Zagórowem pozbędę, przyjadę do ciebie na czas jakiś, a potem stale za granicą zamieszkać.

Wysłała list umyślnym na pocztę, przeliczyła starannie banknoty, jakie Stanisław jej zostawił, i zupełnie z siebie i z życia zadowolona ułożyła się wygodnie do poobiedniej drzemki.

Koniec części pierwszej.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

Piękność przyrody najslabszym głosem przemawia w pieśni Gabryeli; najbardziej obchodziło poetkę życie człowieka, na które spoglądała nie z wyżyn abstrakcyi, ale przez pryzmat czysto ludzkiego uczucia.

Wybuchowy temperament artystyczny w połączeniu ze szczerością i sumiennością w tworzeniu, był powodem, że Gabryela zostawiła po sobie tyle niedokończonych fragmentów.

Idealy poetki stanowią przejście do nowych pojęć życia, do swobodniejszych lotów myśli; przyświeca im już jasne światło nowoczesnego krytycyzmu i światło wyższego rozumu, które nadaje popędem serca prawdziwą samowiedzę i wskazuje jasny cel twórczości. Po raz pierwszy też kobieta w piśmiennictwie naszym nadała swym pomysłom kształty tak artystyczne. A język w jej utworach — jak bogaty, a przezroczy, jak głębie czystych jezior, a kipiący, jak war ognia, a oryginalny, a pełen siły i namiętności, a błyskawiczny w swych rzutach samodzielnych, przemawiający do wyobraźni dźwiękiem rzeźbiarza, a do uczucia dźwiękiem mistrza, — która uderza tonem silnym, czystym, pełnym głębokiej wibracji o klawisze fortepianu, mieniący się tysiącem różnorodnych iskier uczucia, dowcipu i fantazyi. Proza Gabryeli, którą władała lepiej niż mową rymowaną, przypomina swym bogactwem prozę Krasńskiego, ma jednak swoją odrębną oryginalność.

W płodach Gabryeli jest więcej, niż myśl kobieca przez wieki całe powiedzieć nam umiała. Zdaje się, jakgdyby dusza niewieścia, w niemości swej pokrzywdzona, a przywołana nagle do głosu natchnieniem potężnego talentu, chciała wszystko, co się w niej przez długie lata zbierało, odrazą wypowiedzieć światu. Co więcej, dusza kobieca w Gabryeli wykazała i potęgę swą i niemoc zarazem: potęgę w sile, niemoc w obszarze pojęć i uczuć. Zdaje się wołać ona do ludzkości: „Patrzcie, co ja mogę! Dajcie mi wyrwać się na szersze widnokręgi życia, a oprómię je tak cudnymi barwami swego natchnionego ducha, w jakie przystroiłam ten mój mały świat ukończony, wśród którego zamknąć się musiałam. Mam skrzydła u ramion, mam dosyć tehu do lotu, brak mi tylko przestrzezeń!”

I umilkła pieśń prawdziwej poetki. I znowu po niej nastąpiła cisza. Nie dosłyszano dobrze wielkiego krzyku piersi niewieściej. Natchnione płody ducha Gabryeli nie znalazły należytego od-

dźwięku wśród ogółu, a na słuszną ocenę czekać długo musiały. Wina w tem jednak największa czasu, jaki nastał. Syreni głos pieśni musiał ucichnąć w chwili, gdy surowa myśl obowiązku zadumała się nad innymi sprawami życia, gdy do umysłów przemówiła wiedza pozytywna. Wieczysta tęsknota do wszystkiego, co wleciało ponad rzeczywistość, ukocowanie ideału musiało zejść z drogi tej dumnej i poważnej pani. Odniedawna dopiero, i to głównie dzięki pracy Chmielowskiego, przypominano sobie postać znakomitej poetki. Lecz dotąd jeszcze utwory jej nie stały się własnością duchową ogółu. Ale stać się kiedyś muszą, bo mają w sobie nieśmiertelne pierwiastki bytu w wielkim talencie twórczym, bo poruszyły te struny, które zawsze w sercach ludzkich odezwą się miłością prawdy, piękna i ideału, bo zresztą, krótko powiedziawszy, poezja prawdziwa nigdy nie ginie w mrokach niepamięci. A Gabryela była poetką prawdziwą, tak jak powiada, bohater jednego z jej utworów, poeta Julian:

„Nie w dźwięku i nie w rymie,
„Ale ducha sakramentem,
„W świętym czynie i w uczuciu świętem.“

III.

Dźwiękiem pieśni zakończyłem dzieje twórczości znakomitej poetki naszej; od dźwięków pieśni rozpocznę charakterystykę innej, odmiennej duchowo muz wybranki:

Dwa słowa tylko zmienić: zamiast „żar w sercu“, powiedzieć „tęczę wyobraźni“, a będziemy mieli wierny wizerunek natchnionej improwizatorki, Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy). Śpiewaczka ta, wśród nas jeszcze żyjąca, jest dziećciem nie o wiele późniejszych, ale odmiennych czasów. Już mówiąc o Gabryeli, wspomnieliśmy o dobrej reakcji konserwatywnej, która nastąpiła w naszym życiu umysłowym, moralnym i towarzyskim po roku 1850, o tej reakcji, która napęłała taką gorączką podniosła duszę entuzjastki. Na początku tej doby ozwała się pieśń dziecicy salonów, pieszczocha ówczesnej inteligencji naszej, natchnionej od dzieciństwa improwizatorki.

Kto chce być rzetelnym sprawozdawcą dziejów piśmiennictwa, kto chce oddać każdemu z czytelników Apollina to, co mu się słuszenie należy, wskazać dokładnie to miejsce, które dana jednostka w pochodzie ducha twórczego zajmuje, ten winien, trzymając się zasady, którą wygłosił krytyk francuzki Sainte-Beuve, przypatrzeć się każdej postaci autorskiej z blizką, w tych ramach czasu i otoczenia, które duchowość jej kształtowały. Nie należy sądzić pisarza ze stanowiska pojęć i ideałów tej chwili, w której sprawozdawca przemawia, ale wrócić się myślą do czasu, w którym dany autor tworzył, zbadać ducha epoki i te siły zewnętrzne, które w zespoleniu z wrodzonymi jednostec twórczej właściwościami, taką a nie inną ją uczyniły. Gdy napotykamy talenta jednostronne. a choćby nawet dla nas niesympatyczne, należy oceniać je słuszenie według ich wartości gatunkowej. Obok wielkich bowiem, bogatych we wszystkie zasoby ducha twórczego, geniuszów i talentów, są i mają prawo bytu inne, które tylko jedną stroną twórczości silnie i oryginalnie do nas przemawiają.

Deotyma przyniosła z sobą na świat ducha, zasobnego w fantazyę poetyczną, niezwykle lotną, niepospolicie oryginalną, żywą nawet, choć niezapalną, nie wybuchową; przyniosła umysł, cheiwy wiedzy, ciekawy w dociekaniu treści zjawisk życiowych, z gorącą skłonnością do dumań filozoficzno-metafizycznych, a przede wszystkim ze skłonnością do dogmatyzmu, do oparcia się na zasadach uznanych. — umysł obcy wszelkiemu sceptycyzmowi i krytycyzmowi; przyniosła wreszcie uczucie, oprómiennione aureolą wiary religijnej, przez pryzmat jej najlepiej zjawiska życia odczuwające, uczucie ciche, nie burzliwe, nie namiętne. Tę duchowość swoją uumożniła i ukształtowała poetka w młodych latach zasobami wiedzy filozoficznej, historycznej i przyrodniczej, można

nawet powiedzieć: encyklopedycznej. Samo się przez się rozumie, że w tak szerokich ramach wykształcenia nie można było dążyć do gruntownej uczoności, lecz raczej do ozdoby umysłu.

Świat moralny znalazło natchnione dziewczę gotowy w pojęciach czasu i w pojęciach otaczającego świata. Wpływ epoki konwencyonalno-klasycznej w wychowaniu kobiet, dziedzictwo Hofmanowej, przeważał w ówczesnej atmosferze moralnej i w życiu rodzin. Przykład wszakże Eleonory Ziemięckiej, pierwszej filozofki naszej, poruszał żywiej umysły niewieście i na drogę dociekań filozoficznych je popychał. Dociekania te jednak, które w utworach Ziemięckiej od abstrakcyi metafizyki niemieckiej przeszły z czasem do dogmatyzmu, nie wspólnego ze światem ducha moralnego nie miały. Świat ten miał swoje utarte, konwencyonalne i dogmatyczne zasady

Kto, jak entuzjastka-Gabryela, zdobywał sobie moralne ideały życia na twardej drodze doświadczeń, ten w walce ducha mógł sobie świat inny, świat własny stworzyć; ale kto przyszedł do gotowej uczy życia, temu dziwić się nie należy, iż spożywał ją taką, jaką mu przygotowano. Dość zasługi, jeżeli swój stół biesiadny w piękne kwiaty natchnienia przystroił.

O życiu kobiet z tej sfery, w której urodziła się pieszczoszka losu, Deotyma, powiedzieć można własnymi słowami poetki:

„O, taka stanie między wybranemi,
„Bo czyliż zgrzeszy, gdy będzie szczęśliwa?
„Ma czułość ojca i pieszczoty matki,
„Urodę, której tłumy hołd przynoszą;
„Klucz wykształcenia dadzą jej dostatki,
„Co są w chrześcijaństwie hojności rozkoszą.“

Nie można powiedzieć, aby romantyzm nie wywarł pewnego wpływu na twórczość Deotymy. W pieśni jej czuć urok baśni ludowej, a nawet gdzieś unosi się nad nią pewna tajemniczość romantyczna. Jednakże spokojne uczucie poetki, a szczególnie wyobraźnia jej pogodna, niezapalna, nadała pieśni Deotymy charakter zupełnie odmienny od twórczości romantycznej i zbliża ją raczej do płodów dawnego klasycyzmu.

Jak dalekiem było usposobienie poetki od uczuć entuzjastycznych, o tem sama w pieśni swojej zaświadcza:

„Bo zbytek czucia przesycą;
„Matka win — nuda — w nim gości,
„Wszystkie szczyty są to cele,
„Na które z chmur namiętności
„Najłatwiej mknie grom... niestety!“

W poezji Deotymy nie brak zachwytyw poetycznych; ale zachwyty myśli i wyobraźni a entuzjazm serca — są to rzeczy zupełnie odmienne.

Ostatnie słowo filozofii metafizycznej niemieckiej obudziło u nas ducha filozoficznego. Dzieła Trentowskiego, Kremera, Cieszkowskiego znane były niezawodnie Deotymie, a prawdopodobnie też i w niemieckich filozofów, w Hegla i w Schellinga, się wczytywała. Ztąd powstał w pieśni poetki duch badań metafizycznych, z którego wyzryn spoglądała na różne objawy życia i przyrody; ztąd powstały jej pojęcia historyzoficzne.

Jeszcze Ś-ty Augustyn w dziele O mieście Bożem, wykazywał w człowieku, w naturze i w dziejach ludzkości pewną troistość, na podobieństwo Trójcy Bożej. Ta troistość przeszła do pojęć filozoficznych; metafizyka bardzo wiele rzeczy za pomocą niej sobie wyjaśniała. Hegliści dzielili dzieje ludzkości na trzy epoki, przedstawiające królestwo Ojca, królestwo Syna i królestwo Ducha. To ostatnie ma być epoką przyszłości, ostatnim, najdoskonalszym stopniem rozwoju ducha ludzkiego, w sile poczętego, w miłości pokrzepionego i odrodzonego, a w mądrości mającego znaleźć cel ostateczny swego istnienia. Schelling przedstawia te epoki i nadaje im miana apostołów. Po wieku Piotra, który miał wyobrażać kamienną epokę kościoła rzymskiego, nastąpił wiek reformatorski, wiek rozumu Pawła, a wiek

Jana, wiek miłości powszechnej, ma być epoką ostatnią, najdoskonalszą. Byli filozofowie, u nas szczególnie, którzy w harmonii zasadniczych potęg duchowych przyszyli ideał życia najdoskonalszego upatrywali.

Deotyma w swej historyozofii jest heglistką, jak to widzimy w poemacie jej, pod tytułem „Miłość mądrości“.

„Na wulkanicznym Synai
„W chmurach i gromach się tai
„Wielka siła—Adonai.“

A dalej...

„U sinych szczytów Kalwaryi
„Z niebiańskim zachwytem kona
„Wielka miłość—Dziecię Maryi.“

Wreszcie głosi poetka, że:

„Z szczytów nieznaney góry
„Przyleci ptak białopióry!
„Śród oświecających żarów,
„Zstąp na tęczę siedmiu darów,
„Mądrości Paraklecie!“

Pojęcia historyozoficzne wypowiada Deotyma również w utworze pod tytułem: „Podróż myśli w świat dziejowy“.

W życiu ludzkości widzi poetka przedewszystkiem dwa światy: świat starożytny,—świat życia zmysłowego—i świat nowożytny—świat życia duchowego. Każdy z tych światów dzieli się na trzy epoki. Świat starożytny ma epokę siły zwierzęcej, epokę siły bohaterskiej, świadomej, ujarzmiającej przyrodę, i epokę estetyczną, to jest piękna zmysłowego, która stanowi syntezę dwóch pierwszych epok. W świecie nowożytnym po średniowiecznej epoce wiary, jako tezie, nastąpiła tegoczesna epoka wiedzy, jako antyteza, a w przyszłości nadejdzie epoka trzecia, która będzie syntezą wiary i rozumu. Mamy tu więc tę sławną trójnię metafizyki niemieckiej: tezę, antytezę i syntezę.

Nietylko w dziejach ludzkości, ale i w poe-dy-nicznych objawach życia i w różnych przedmiotach widzi Deotyma troistość metafizyczną. Tak naprzykład w ciałowiku, jak mówi poetka, wre trójca gromowa:

„Myśl—błyskawicą,
„Grzmotem—słowa,
„Piorunem—czyn.“

Prawda ma trzy serca: „serce dziewicy, mnicha i rycerza“. W harmonii widzi poetka „trójgłos“. Życie jednostki pragnie Deotyma doprowadzić do harmonii przez połączenie dwugłosu natury ludzkiej z „jednogłosem“ przyrody, aby się złąły „w obraz Bóstwa...“

„A gdy w sile dwóch chórów zrównają się głosy,
„Niebo usłyszy ziemię, a ziemia Niebiosa.“

Ostateczny cel ludzkości jest głównym przedmiotem zadumy filozofów. Podlegając tej zadumie filozoficznej i patrząc oczyma jej na wszelkie zjawiska przyrody i życia, Deotyma upatruje w każdej rzeczy cel ostateczny i określeniem tego celu ją ożywia.

Badając w danym przedmiocie znaczenie jego chwilowe, samo w sobie, a także w stosunku do innych przedmiotów, duch poetki spogląda zarazem w przyszłość, w nieskończoność, widzi przed sobą ostateczny cel życia i tam, w tej nieskończoności, w tej krainie, gdzie wszystko ma być już doskonałością samą, odpowiednie miejsce przedmiotowi temu wskazuje. Więc płasy ciała ziemskich i niebieskich mają, według poetki, złączyć się kiedyś w harmonijnym tańcu; więc ostateczny cel kamienia widzi śpiewaczka w tej epoce, w której ukrywa się przyszyli „kamień filozofalny“. Na kamieniu tym „kościół powszechny u wrót nieba stoi.“ To pojęcie o ostatecznym celu każdego przedmiotu, spoczywającym w harmonii przyszłej doskonałości, daje duszy poetki wiarę,

ogodę i spokój, siły ducha, opromienione słowem zachwytu.

Prócz ogólnego, każdy przedmiot, jak już rzekłem wyżej, ma u poetki naszej znaczenie czasowe, sam w sobie i w stosunku do innych przedmiotów. Nadaje niekiedy wyobraźnia poetki pewnym rzeczom i zjawiskom znaczenie symboliczne. Najczęściej jeden i ten sam przedmiot ma, nie jedno znaczenie, lecz kilka, niekiedy nawet bardzo wiele. Tak, naprzykład, „góry“ mówią o sobie, że są „świata zawojem“, „ziemi koroną“, „pierwiosnkiem świtu“, „dolin zegarem“, „paziami słońca“, „niebios ławnicami“, „olbrzymimi dziećmi“, „wyspą konania“, „oazą życia“, „matką potoków“, „boskimi organami“, „orłów warowniami“, „czolem odwagi“, „marzeń namiotem“, „helmem zniszczenia“, „szkatułami ludów“, „tronami narodów“, „trójnogiem pieśni“, „klęcznikiem troski“, „do piekła wschodami“, „do nieba stopniami“, „ołtarzem świata“, „mogilą mitów.“ Taniec był wśród ludzi znakiem czci w pobożnym obrzędzie, wyobrażeniem życia towarzyskiego, ukojeniem bólu zwątpienia u Germanów, a kiedyś w przyszłości pójdzie jeden taniec zgody. Ciemne ziarnka różańca są symbolem hierarchii, symbolem ruchu ludzkości; widzi je także bujna wyobraźnia poetki w drobnych splotach słońca i satelitów, a dłoń olbrzymiego ducha, co się modli, przesuwa te światy, jak ziarna, tworząc siłę planetarną ruchu. Ogień płonie w słowie, karze narody; iskra jego, która upadła w pierś Mojżesza, była wskrzeszeniem; w płomieniu Duch Święty zstąpił na apostołów, więc chrzest ognia niebo otwiera; w dziejach ludzkości żywił ten różne dobroczynne i zgubne wywoływał zjawiska, a wreszcie zabłysnie kiedyś pożarem miłości, gdy nadejdzie „wiek Boży.“

Drugim środkiem artystycznym w utworach Deotymy jest allegorya, wysnuta ze zmyślenia poetycznego. Z utworów tego rodzaju odznacza się niezwykłą pięknoscią pieśń pod tytułem: „Pielgrzymka poety.“ Bohater tej pieśni, pragnąc przyszłość odgadnąć i światu ją obwieścić, stąpił po powierzchni góry, na której wierzchołku przebywa pieśń nieśmiertelna. Ujrzał tam świt nowej ery, lecz, gdy „przyszłej harmonii chce wynucić tony“, zrywa się struna lutni, a życie tej struny jest życiem poety. Więc śpiewak z luną nowej ery na czole umiera, a poetka kończy pieśń swą słowami: „Szczęśliwy, kto tak umiera!“

Mój Boże! i za tak piękną rzecz gromi Deotymę jeden z największych jej wielbicieli, Tyszyński, narzekając że poetka chce zerwać z tradycją.

Allegoryą jest również utwór, pod tytułem: „Miłość najwyższa.“ W poemacie tym Bóg i szatan w postaciach króla oblubieńca i młodzianakusiciela walczą o serce oblubienicy-ludzkości. Gdy ją pierwszy dla wypróbowania opuścił, i nie-szczęśliwa ma już uleźć uludnej mowie drugiego, kona w skrusze, aby ją głos oblubieńca-Boga zbudził do nowego, wiecznego szczęśliwego żywota.

Zjawiska duchowe przedstawia poetka również w postaci allegorycznej. Ukazuje ona w duszy ludzkiej siły gotowe, nieulegające rozwojowi psychicznemu. Człowiek w pieśni jej pokonywa w sobie złe skłonności za pomocą dobrych, a skłonności te są jakimiś siłami zewnętrznymi, wcielającymi się w postaci allegorycznej. Nie tkwią one w duszy ludzkiej, a dusza ta jest sama w sobie istnieniem oderwanym od władz duchowych, jest tylko na ich wpływ wystawiona, jest niejako areną ich działalności. Weźmiemy przykład wyraźny. Anioł i szatan walczą o duszę Ś-go Augustyna. Duchowe szale życia tego człowieka stoją nieruchomie. Każdy z dwóch duchów ma swoją szalę, i na nią odpowiednie wagi sił moralnych nakłada:

„Anioł do pierwszej lilii niewinności,
„Szatan do drugiej—jabłko ciekawości;
„Jabłko przeważa—tryumfuj szatanie!
„Anioł dołożył krzyż wiary, znak męki;
„Szatan—klucz wiedzy z Hermesowej ręki.
„Gdy się ciężary równoważą w sile,
„Znow w Manicheizm młodzian wierzy chwilę!

„Anioł wziął łańcuch—miłość powinności;!

„Szatan dorzucił kostki namiętności...!

„Szala się chwieje... a szatan się śmieje...!

„Lecz anioł składa orle skrzydło w bieli:

„Skrzydło modlitwy, które działa cuda!

„Szatan w swą wagę wlał wody: to nuda...!

„Waha się szala... ufajcie anieli!

„Wnet anioł topór, znak pracy, dokłada;

„Szatan przynosi osłonki na rany;—

„To godło chorób, w których spi śmierć blada...!

„Boleść przeważa,—radość wam, szatany!

„Anioł wziął szmaragd w nadziei kolorze;

„Szatan rozpaczy sztylet zakrwawiony,

„I tak się wagi chylą z jego strony,

„Że młodzian krzyknął: „Opuszczasz świat, Boże!“

„Lecz anioł złożył cierniową koronę;

„To rezygnacya,—ufność mimo nieba;

„Szatan drząc, spuścił oczy zadziwione,

„Bo zrównoważyć mu swą szalę trzeba,

„A już nic nie ma;—znikł, jęknąwszy dziko...!

„A młodzian, tknięty przemianą tajemną,

„Zawołał kornie: „O, matko Moniko!

„Nie będziesz więcej płakała nademną!““

(Dalszy ciąg nastąpi).

Co słychać w „Rodzinie Połanieckich.“

II.

„Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interessa domu handlowego rozwijały się jednak pomyslnie...“

I rozterki te duchowe wypełniają cały początek drugiego tomu powieści. Z rozmaitych wypływają one źródeł. Śmierć Lutki wykołysła po prostu Połanieckiego; pogrzeb, nieustanna troska o stan rozpaczającej, bezradnej pani Emilii, nawał wrażeń—odsunęły mu na plan dalszy własny do Maryni Pławickiej stosunek, położyły niejako chwilowy tłumik na grające w nim tak silnie uczucia. Powtóre zaś, dzięki opatrnościowej niejako interwencji umierającego dziewczęcia, stanął Połaniecki niemal nagle na stopie narzeczonego Maryni, to jest posiadał z Poniedziałku na Wtorek to, co wydawało mu się tak dalekiem i niedościęgłem. Posiadł... i, zwrotem pospolitym nawet w najniepospolitszych naturach, zapal jego ostygł, namiętne pragnienia przycichły. Wpierw pędził na oślep do celu; teraz, gdy tuż przy nim, stanął, jał zastanawiać się: co wyniknie jeśli krok ostatni i stanowczy uczyni?

Co wyniknie? Kto inny może, patrząc na tę „idealną“ Marynię, wołałby z głębi serca ku niej: „Aniele, czy potrafisz ja ciebie uszczęśliwić!“ Połaniecki przyglądał się jej teraz coraz-to baczniej i krytyczniej, pytając siebie samego: „Zaliś ty aniołem, Maryniu, i czy potrafisz ty mnie uszczęśliwić?“ Patrzył, przyglądał się nasłuchiwał co inni mówią, zestawiał fakta i słowa i—odpowiedź na to pytanie wypadła raz po raz zadawalniająco.

A przedewszystkiem: „Ona jest jednak — myślał — ogromnie pewna. Nic w niej niema wyjąłowego, nic zeszelego. Egoizm nie zabił w niej serca; i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tem, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek — i w życiu trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie za mało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczyniłbym głupstwo, szukając innej.“

Praktyczna bystrość nie zawiodła Połanieckiego. Czuł sam, że ma kompletną racją trwania w powziętem postanowieniu; brakło mu tylko

pierwszej lepszej zewnętrznej podniety, aby postanowienie urzeczywistnić. Wahał się prawie mimowoli i prawie mimowoli zwlekał.

W trakcie zaś tych kunktacyi głównego bohatera wypływają na widownię powieści postaci dotychczas drugoplanowe i przychodzą akcyą jej ożywić. Przedewszystkiem zaś—Maszko.

Karyerowicz ów, dobiwszy się, wiadomemi nam z pierwszego tomu sposobami, jakiego takiego stanowiska i znaczenia na warszawskim bruku, nabywszy dziedziczny Pławickich Krzemień, postanawia — ożenić się. Idzie mu w ręce panna, przystojna i miła, z pięknej pochodząca rodziny, Krasławska, żyjąca z poważnej renty razem z matką. Ma pieniądze—jakoby, kolligacye—najpewniej; czegoż więcej dla Maszki potrzeba? Maszko jest bądź co bądź człowiekiem wykolejonym. Ma porywy do zawrócenia na drogę utartą i do „ozdrowienia“ moralnego. Zdaje mu się, że cel ten osiągnie, zeniać się z panną Krasławską.

— Napracowałem się jak wół — powiada w chwili zwierzeń Połanieckiemu.—Pochodząc z rodziny podupadłej, chciałem wypłynąć, do czego się przynaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym, kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, mógłbym je zbić i otworzył mojemu synowi na rozcież wrota do życia. Ale ja nie kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat—więc chciałem sam mieć nie tylko pieniądze, ale być czemś, coś znacząc, zając jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskiem. Z tego wynikało, że co adwokat zarobił, to *grand seigneur* pochłonił. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudziła mi się szarpanina, polegająca na wyrwanianiu dziury w jednym miejscu, ażeby ją zatkać w drugim, i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że, jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana, bawiącego się w adwokaturę... Partye są równe, niczyjej krzywdy niema i nikt nikogo nie oszukuje, albo, jeśli wolisz, oboje oszukujemy się w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda...

Prawdą to było do tego stopnia, że, podobnie jak Maszko skrywał przed panną Krasławską finansowe swoje kłopoty, tak ona znowu skrywała przed nim istnienie papy Krasławskiego, wegetującego gdzieś w południowej Francyi, nałogowego opilca, utrzymującego się z rocznego subsydium nadsyłanego mu z kraju przez żonę i z la-dajakich dorywczyczych zarobków. Żona i córka wstydyli się takiego męża i ojca i trzymały go zdala od siebie. Papa Krasławski uchodził za dawno zmarłego i pogrzebionego.

Dlatego-to godziły się obie na małżeńskie aspiracye takiego Maszki. On przeczuwał jakąś w rodzinie Krasławskich tajemnicę, ale wolał ów związek z byle jaką tajemnicą, niż wszelki inny bez tajemnicy żadnej. Zakochał się może w pannie? Bynajmniej. Małżeństwo z nią było dla niego tak dobrą aferą, jak każda inna.

I oto raz małżeństwo to zawisło omal że nie na włosku. Dzięki awanturze wyprawionej Maszce przez stałego wielbiciela Maryni Pławickiej, gburowatego, prostodusznego wieśniaka Gątowskiego wykryło się, że Maszki interesa są w opłakanym stanie. Fatalność! Co teraz? Teraz zerwie z nim narzeczona, skandal pograży go w opinii ludzkiej, Warszawa stanie się dlań niemożliwą: trudy i zabiegi tyloletnie w łeb wzięły! Słowem—katastrofa.

Maszko wyzywa na pojedynek Gątowskiego. Ten go rani i Maszko, w czarnej pograżony melancholii leży bezzaradny, przygnębiony, otwierając głębi duszy przed Połanieckim. „Zobaczysz, — powiada doń — ona mnie się wyrzeczy; wszystko między nami skończone!“

I, o dziwo! — Maszko tym razem był złym prorokiem. Okazało się bowiem, że panna istotnie przywiązała się do swego narzeczonego; że nie tylko nie myśli go opuścić, ale przeciwnie z tem większą skwapliwością garnie się do niego. I ta jej serdeczność nieprzewidziana idzie głęboko w duszę Maszki. Jakby całkiem inna staje mu teraz przed oczami. Teraz już małżeństwo nie jest dla niego prostą spekulacją. Z najżywszą rado-

ścią zacieśnia stosunek łączący narzeczonych i—prawie szczęśliwy—staje z panną Krasławską u ołtarza.

Ożenił się.

Inne losu koleje przechodzi wyrazista postać Bukackiego. Należał on w pierwszym tomie do najbliższego otoczenia i przyjaciół idealnej pani Emilii i również jak Połaniecki, Waskowski i Marynia ubóstwiał i ją i Litkę. Teraz, po śmierci Litki, jedzie Bukacki na czas nieograniczony do Włoch, aby wyrwać się z tego otoczenia, dotkniętego serdeczną żalobą. Bukacki, to do krańcowości posunięty typ ujęty w „Bez dogmatu“ w postaci Płoszowskiego. To człowiek zamożny, przywykły robić wszystko, co mu chwilowe usposobienie podszeptnie, a ponieważ najmilszemu dlań zajęciem nie robić, przeto i nie robi nic. Powiedziałby kto: to dekadent! W istocie; przeżył wszystko i poznał wszystko; *omnia facit et nihil expedit*—można by o nim powiedzieć. I teraz wleczce żywot marny, bezpożyteczny dla bliźnich, ciągnąc jemu samemu.

A człowiek to wysoce wykształcony, pełen werwy i subtelnego dowcipu, świetny w rozmowie błyskotliwej, a gdy podniecony morfiną—istna kaskada fajerwerków. Ale cóż z tego? Na nic on sobie, na nic innym. „Bańka mydlana, czasem polyskująca barwami tęczy, ale czeza i nierwała, jak prawdziwa bańka. Chory to człowiek, z pewnością neurastenik, morfinista, istota wykolejona, niezdolna do życia. Raz Połaniecki proponuje mu, aby odkupił od Maszki Krzemień i osiadł sobie spokojnie na wsi, przy czem spełni raz przecie jakitaki czyn obywatelski. Bukacki parska fajerwerkami ironii i kpini z całego świata, a następnie z siebie samego.

I taki to człowiek, rażony nagle zostaje paraliżem na obczyźnie, wśród obcych ludzi, w Rzymie. W tym sybarycie, w tym egoście rozgrywa się dramat istotny. Widzi zbliżającą się śmierć; widzi całą nicieść własnego życia.

I Bukacki umiera.

Dlaczego go wprowadził do powieści Sienkiewicz? Na akcyą jej Bukacki nie wywiera żadnego wpływu; pojawia się w luźnych epizodach i idzie — by się tak wyrazić — głębią obrazu. W tem rzecz właśnie: Maszko, Bukacki, professor Waskowski wypełniają tło, na którem zarysowuje się tem wyraziściej postać — Połanieckiego. Na tem tle przemyka się w dali nawet wspomnienie o Płoszowskim z „Bez Dogmatu“, mówią o nim dosyć względnie często w „Rodzinie Połanieckich“ i dlatego, aby tem silniej uwydatnić odrębność—Połanieckiego.

Połaniecki, zastanawiając się nad „paczką“ najbliższych swoich znajomych, powiada: „Cóż u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie!“ Płoszowski, Maszko, Bukacki, Waskowski są to ludzie — nienormalni. On, Połaniecki, szczyci się z tego, że właśnie jest okazem czystej krwi—normalności.

Bo weźmy też i takiego profesora Waskowskiego. On też należał do kółka skupiającego się dokoła pana Emilii i Litki, i on-to pierwszy powiedział wprost, że dziecko to musi mieć jakąś missyą do spełnienia tu na ziemi, skoro pojawiło się tu między nimi. Jakoż w istocie Litka spełniła missyą: zaręczyła Połanieckiego z Marynią.

Waskowski, przeaczny stary idealista, to najsympatyczniejszy i rzadkiej cnoty człowiek, ale — jakby to powiedzieć? — też nienormalny. Marzyciel to, marzyciel niepowszedni.

Miewa on doskonale poglądy na najbliższe społeczne swoje otoczenie. „Aryjskiego niepoju ducha — mówi na którymś miejscu — więcej w nas niż na Zachodzie. My, najmlodszyz Aryów, czujemy najżywiej, bierzemy wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapalczywiej... Niema w nas miary i nie może być, bo w nas do zbytńskiego przyjmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i wiesz co — oto próżność... Ach, Boże! jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego: wlaż — naprawdę wlaż — po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w buddaizm, w dekadentyzm — bo ja

wiem w co wreszcie? przecie teraz i w tem panuje chaos—wlaż tak głęboko, że go te miazmy naprawdę zatrują; ale czy myślisz, że on przy tem nie pozuje? co za dziwne natury! zarazem i najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca i — kome-dyanckie“.

Sam zacny Waskowski kome-dyantem nie jest, ale,—gdzie u niego samego „miara“? Wychodzi on z założenia, że prawdziwe chrześcijańskie jednostki są na świecie; ale, że idea Chrystusowa nie przeniknęła jeszcze — do dziejów. I oto staje się apostołem tego chrystyanizmu dziejowego i poświęca życie dla przyspieszenia chwili, kiedy duch Chrystusa w historią przejdzie naprawdę. Pisze o tem obszerne dzieło i jedzie do Włoch wydawać je i propagować ideę o duchu Chrystusowym, ożywiającym dzieje. Tam, we Włoszech, napotyka i trudności i niedowierzania; ale to wszystko nie zraża bynajmniej nauczyciela — utopisty. Zacny, serdeczny Waskowski!

Ale — normalny-ż to człowiek? Z pewnością nie; mniej nawet może normalny niż Maszko i Bukacki, i dlatego-to kwalifikuje się doskonale do wypełnienia owego „nienormalnego“ tła, na które rzucił Sienkiewicz swego „normalnego Połanieckiego“.

A podczas, gdy Maszko dobija do portu swej kariery, posługując panną Krasławską; podczas gdy nieszcześliwa pani Emilia, straciwszy w Litce jedyną nie wiążącą ją ze światem, wstępuje do zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, aby, wyczerpana pracą, mózdz „legalną drogą“ połączyć się co rychlej tam, w wieczności, z ubóstwionym dzieckiem swoim; podczas gdy Bukacki i Waskowski wyjeżdżają do Włoch,—w życiu Połanieckiego nastaje, moment „psychologiczny“, przełamujący raz przecie długich jego wahań się i zwlekań zapory.

Wspomnieliśmy wyżej, że potrzeba było jedynie przypadkowej zewnętrznej podniety, aby zdecydować go na krok stanowczy i nieodwołalny. Znalazła się ona, bo przyjsć z konieczności musiała pierwiej czy później, zważywszy na codzienne niemal widywanie się na poły narzeczony pary.

Pięknego wieczora tak okrutnie spodobała się nagle Marynia panu Stanisławowi, że zdawało mu się, iż świata da połowę za przytulenie do piersi tej anielsko precudownej główki.

Nazajutrz posłał jej bukiet i list z zawiadomieniem, że niebawem sam nadejdzie. A gdy przyszedł i zostali sami.....

— Połaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i, zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie, spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

— Odebrała pani kwiaty i list?

— Tak...

— I domyśla się pani: dlaczegom przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Połaniecki pytał dalej, coraz bardziej przerywanym głosem:

— Czy pani zgadza się na wolę Litki? czy pani mnie chce?

— Tak,—odpowiedziała Marynia.

I w miesiący kilka potem została jego żoną, a zaraz po weselu wyjechali państwo Połanieccy za granicę przez Wiedeń, Wenecyą, do Rzymu.

Zdawać-by się mogło, że teraz dla obojga nastanie raj na ziemi. Bo i jakże? On tak się w niej zapamiętałe kochał, ona kochała go też; okoliczności rozdzielały ich tak długo, podsycając chyba miłość trafiającą na przeciwięstwa. Bywało tak, bywało w powieściach z dawnych, dobrych czasów, kiedy to powieść kończyła się weselem, a Numa na ostatniej karcie wychodziła za Pompiliusza. Dziś ileż-to powieści „zaczyna się“ dopiero od ślubu bohatera i bohaterki, albo, jak „Rodzina Połanieckich“, ma ślubów w pośrodku samym!

Pani Połaniecka była szczęśliwą; pan Połaniecki był także szczęśliwym—na swój sposób. Ona ubóstwiała swojego „Stacha“; on dobił się swoje-

go, ma niezamąconą niezem ducha pogodę i najwygodniej ułożone warunki życia.

Bo trzeba wiedzieć, że na samem odjeździe za granicę przeprowadził Połaniecki obszernej skali handlową operacyę i jest teraz w dodatku nie tylko zamożnym, ale i bogatym człowiekiem.

Czegóż mu braknie?

Ma żonę piękną i anielsko dobrą, ma dobrobyt zapewniony, ma pewność siebie i wiarę we własny rozum i finansowe zdolności, ma zdrowie fizyczne i moralne, ma pewność, że nikt mu już Maryni nie zabierze, a interesów domu handlowego nie już nie zachwieje. Żona go kocha, wiedzie mu się w życiu.

W Wenecyi stałe im towarzyszy Bukacki i, ze zwykłym sprytem, przejrzawszy nawskroś parę nowozaślubionych, stawia Połanieckim taki horoskop: „Życie im ułoży się tak, że on będzie słońcem, będzie łaskawie świecił, łaskawie ogrzewał, uważał ją za swoją własność, za planetkę, która się powinna koło niego kręcić. To się już wszystko dziś zaznacza... Ona już weszła w jego sferę. Jest w nim jakaś pewność siebie, która mnie gniewa. On będzie miał ją i — resztę; ona tylko jego—bez reszty... On się będzie pozwał kochać, uważając ze swojej strony kochanie jako swoją cnotę, dobroć i łaskę, ona będzie kochała, uważając swoją miłość za szczęście i obowiązek... Patrzcie mi go! bożek promienisty!...“

To przygrywka, to *Leitmotiv* dalszych dziejów małżeńskiego pożycia pana Stanisława i Maryi Połanieckich. Bukacki, mądry Bukacki wyprorokował im przyszłość tak trafnie, jakby to on sam był autorem „Rodziny Połanieckich“.

Państwo Połanieccy zwiedzają miasta, okolice, muzea i galerie, wycieczki odbywają i zawiązują przelotne znajomości, używają zagranicy z całą swobodą i ochoczością, a poprzez zachwyty nad przyrodą i sztuką, poprzez wesołego życia z dnia na dzień przygody — przewija się, jak w wagnerowskiej operze, *Leitmotiv* dysharmonii tego stadła, skójżarzonego napozór tak normalną drogą normalnego składu okoliczności.

(Dokończenie nastąpi).

CORREGIO

(Antonio Allegri).

Należy nam powtórzyć za poetą, że „swoich czasów śpiewak nie obwini“ i choć oskarżają je o realizm, racjonalizm chłodny, niemniej liczne objawy ezczi oddawanej myślicielom, artystom, dowodzą, że wiek nasz ceni to, co z tęsknoty za ideałem powstałe, wytworzyło nam w skarbach sztuki, poezyi, wpływy podnoszące duchem nad poziome, materyjalnych tylko interesów naszych dotyczące sprawy. Otwarta w Rzymie wystawa obrazów malarza z wieku XV-go, Antonio Allegri, znanego w historii sztuki pod nazwą Corregio, nadanej mu od miejsca urodzenia, miasteczka Corregio, położonego w pobliżu Parmy, gdzie przyszedł na świat w 1494 r., syn rodziny mieszczańskiej o tyle zamożnej, iż z biedą nigdy walczyć nie potrzebował, jak mylnie głosi legenda, dodając, że wskutek tego żadnego wykształcenia umysłu nie odebrał, wszystko z własnej swej głębi samodzielnie biorąc, czemu przecież zaprzeczają fakta jego życia. Historyk Pungileoni wymienia w pamiętnikach swoich nazwiska pierwszych jego nauczycieli: Bianchi'ego Berni'ego i Morostani'ego a przytem obrazy na tle mitologicznem już wykazują, że starożytność studyował, zatem wykształcenie klasyczne otrzymał.

Ukochanie idealnego piękna sprawia, iż oddaje się tworzeniu w tym zakresie: jego gracye, jego boginie są pełne uroczego powabu a Dyana na wozie, ciągnionym przez sarny, należy do najwzniekszych jego utworów. Uroczym pięknym, przedstawia marzenie artysty o wdzięku dziewicy czystej, a aniłki jego posiadają czarowny

urok idealnych marzeń o zaziemskim świecie. Ojciec jego, Pellegrino Allegri, był fabrykantem sukna, ale posiadał zarazem własność ziemską, pod miastem położoną i chłopię młode wzrastało wśród uroków tej bogatej natury włoskiej, której wdzięki rozbudzają poczucie, ukochanie piękna, dając wczesnie zamilowanie barw i tonów. Wykształcenie jego naukowe było klasyczne; uczył się z zamilowaniem wielkim; historia pociągała go szczególnie do siebie: ale po pewnym czasie ukochanie przyszłej jego sztuki zaczęło się wybitnie okazywać. Pierwszym jego mistrzem był Francesco Bianchi, który przeciw niedługo mógł dawać kierunek rozwijającemu się talentowi, bo umarł wkrótce, gdy Antonio miał rok siedemnasty, ale już zamilowanie sztuki i objawy talentu kazały wróżyć, iż ma w sobie tę iskrę świętą, która się zowie talentem.

Pragnienie poznania dzieł mistrzów wielkich pechało go wciąż przed siebie. Przebywał czas dłuższy w Bolonii, w Ferrarze; w Mantui studyował dzieła wielkiego ówczesnego mistrza, Mantegni, uczył się nie tyle sposobów malowania, jak widzenie piękności rozbudzało mieszczące się w jego głębi zasoby twórczości. Talenta niższe naśladować, wyższe, przez wzruszenie widokami piękna sprawione, rozbudzają w sobie tkwiące w nich siły i tworzą oryginalnie piękności nowe. Są to bodźce dla wyobraźni twórczej, która rozwija wtedy skrzydła, podniecona, wzruszona i wzbija się w górę, własnym szlakiem dążąc w krainę ideału. W 1514 r. młodzieniec znajduje się znowu w rodzinnym swem mieście, a talent jego już teraz uznanym zostaje i wzywają go, aby w kościele Ś-go Franciszka, należącym do zakonu Minorytów, wymalował obraz do wielkiego ołtarza, ofiarując mu za tę pracę sto dukatów. Małoletni jeszcze potrzebuje asystencyi ojca, aby warunki układu miały ważność prawną, ale własna jego twórczość już ma siłę taką, że obraz znajdujący się obecnie w galerii drezdeńskiej, choć jeszcze nie posiada wszystkich zalet i uroków późniejszych utworów jego, już jako dzieło sztuki wyższej uznanym został.

Jestto Najświętsza Panna na tronie z gronem świętych poniżej; młodzieniec rok cały obraz ten tworzył, tak pracy swej oddany, że zdawał się żyć nią cały, a choć nie jest to jeszcze dzieło piękna takie, jakie talent jego wydawał dojrzawszy, przecież należy już do wyższych utworów sztuki, a on wrywa się teraz z rodzinnego zakątka. W 1518 r. udaje się do Parmy, gdzie największa liczba dzieł jego się znajduje, a gdzie przeorysza klasztoru benedyktynek zawezwała go do ozdobienia jednej z komnat swoich, oratorium, postaciami mitologicznymi, wśród których znajduje się owa wdzięczna Dyana na wozie, z półksiężycem na czole i w orszaku kupidynów, a którą zaliczają do arcydzieł jego pendzla.

Sklepienie górne, przedstawia błękit nieba, w obłokach unosi się mnóstwo kupidynków; praca ta jego, wykonana w 1519 r. uroczym wdzięcznym, lecz nie odpowiadającym miejscu i przeznaczeniu swemu, była przez długie lata niedostępną dla oczu ludzkich, bo klasztor zamknięto i dopiero w XVIII-ym wieku gdy wolnym został przystęp do wnętrza jego sal, rozgłos o piękności tych prac artysty wszedł do historii sztuki.

Między 1520 a 1530 r. zamieszkiwał stałe w Parmie i w tym też czasie wykonał dzieło „potężnie piękne“ jak się wyrażają kronikarze współczesni, a które jeszcze obecnie zachwyca oczy ludzkie: widzenie Ś-go Jana apostoła na Patmos. Chrystus w głoryi, otoczony uczniami, którzy stoją na chmurach, gdy On unosi się w niebiosa, ku któremu wzrok Jego się zwraca. Artysta nie wcielił w dzieło swoje ekstazy religijnej, ale przez tło całe i jego oświetlenie daje obrazowi łagodnie poważny urok, który wzrusza, przenika widza.

Obraz ten, przeznaczony do kościoła Ś-go Jana apostoła, rozpoczął szereg dzieł religijnych: „Zwiastowanie Najświętszej Panny,“ inaczej „Madonna della Scala,“ znajdujące się obecnie w miejskiej Pinakotece Parmy, ma ich za sobą rząd długi: „Noc Bożego Narodzenia,“ znajdująca się w galerii drezdeńskiej, Madonna ze St. Heronimem i Świętą Magdalene, zwana „Dzień,“ Madonna ze St. Sebastianem, Madonna ze Ś-tym Je-

rym, Chrystus, Chrystusa, męczeństwo SS. Placyda i Flawiusza. Obok tego jest szereg obrazów mitologicznych, rozrzuconych po różnych galeriach sztuki: „Ganimed“ w Wiedniu, „Danae“ w Rzymie w galerii Borghesów, a wszystkie te kreacje jego pendzla wykazują własny styl i wyraz, oryginalną siłę twórczą, która lubuje się w pięknie jasnym i wesołym, a przy bogactwie zarysów, przy doskonałej znajomości anatomii, przedstawia prawdę realną, oddaną z „cudownym zmysłem malowniczości,“ jak się jeden z krytyków wyraża, „z wielką i jakgdyby wrodzoną zdolnością rzucania zasłon cienia na wszystko, co grubym realizmem stać by się mogło.“ Kobieta wychodzi z pod jego pendzla owiana jakąś łagodną, ciepłą atmosferą i ponętą jest przez szlachetne strony uroków swoich.

Śmierć przyszła do niego o południu życia, gdy wszystko już sobie nabył, co nabyć się daje człowiekowi, a nie jeszcze z tego nie utracił. Umarł, mając lat czterdzieści, tam, gdzie się rodził i gdzie przed laty kilku powrócił, snadź już dość napatrzywszy się tęczowych barw życia. Zamknął oczy d. 5 Marca, cicho, spokojnie, nie zostawiając po sobie żadnego portretu, własną ręką dokonanego, a te, jakie za podobizny jego podają, nie posiadają żadnych gwarancyi autentyczności, i już Vasari, skrzętny biograf artystów, napróżno poszukiwał jakiegokolwiek rysunku. Ten, który się w 1792 r. w Sienie ukazał, nie miał za sobą żadnych dowodów autentyczności; że przecież rysy jego ducha odbijają się w jego utworach, mamy więc istoty jego najważniejsze odbicie.

Kronika działalności kobiecej.

— Petersburska komisya specjalna do opracowania projektu reorganizacyi zarządu zgromadzeń kupieckich, oraz zmian w przepisach stanu kupieckiego, przyzwala do swego grona sześć kobiet na podstawie uwagi, iż znaczna liczba kobiet zajmuje się kupiectwem i prowadzi handel przedmiotami służącymi wyłącznie na użytek kobiet.

— Na rzecz rozpoczętej w Petersburgu budowy nowego przytułku dla ubogich Zofia Leśnikowa ofiarowała rs. 100 000.

— Ponieważ w niektórych biurach technicznych, inżynierskich i budowlanych pracują rysowniczkami, których piętnaście mieści się w zarządzie kanalizacyi, a obok tego znajduje się ich liczba pewna w biurach fabrycznych, oraz w pracowniach architektów, p. Wiesiołowska, przewodnicząca szkoły malarstwa dla kobiet, zwróciła się do władz odpowiednich z zapytaniem: o ile nauka rysunku technicznego i kształcenie w ten sposób kobiet na pomocników technicznych miałyby u nas racyę bytu? Odpowiedź otrzymana była wykładem tym przychylna na podstawie, iż kobiety są przyjmowane jako rysowniczkami do niektórych biur technicznych oraz budowlanych. W wydziale inżyniera Lichtweisa przy zarządzie kanalizacyi mieści się piętnaście rysowniczek technicznych, podobnie jak i w biurach fabrycznych. Pracownice architektów przyjmują też kobiety na równi z mężczyznami: więc na podstawie zebranych wiadomości p. Wiesiołowska wniosła podanie do władz ministerium oświaty o dozwolenie jej otwarcia przy szkole rysunku oddziału technicznego, na co otrzymała odpowiedź przychylną.

— Pierwsze posiedzenie komitetu kassy pomocy dla bon i nauczycielek, zorganizowanej przy Warsz. Tow. Dobroczyńności, odbyło się pod przewodnictwem p. Kuligowskiej. Wniesiono dwadzieścia sześć podań z prośbą o pożyczkę na ogólną sumę 1.200 rs. Wszystkie podania otrzymały odpowiedź przychylną.

— Powstałe z poczciwej myśli s. p. Agnieszki Helwichowej Schronienie nauczycielek mieściło

w roku zeszyłem przebywających tam stale nauczycielek: do pracy już niezdolnych 32, chwilowo przebywających 13, administracja i służba składała się z osób 14. Dochody tej instytucji wynosiły 9.948 r., wydatki 9,695, pozostało zatem remanentu 247 r. i coś drobnych. Majątek Schronienia przedstawiał pod koniec zeszłego roku 20.694 rs. a to z zapisu ś. p. Jana Wenera, ś. p. nauczycielki Matyasek i Popławskiego 12.200 rs., z oszczędności lat poprzednich 3.623 rs.; przewyżka doходу dała j. w. w roku zeszyłem 247 rs., wartość ruchomości przedstawia 2.622 rs. Niezależnie od tej summy istnieje fundusz ośmiu nauczycielek, przyjętych do Schronienia zgodnie z ustawą za umówioną opłatą roczną. Pozostałość tego funduszu, zmniejszającego się corocznie przez potrącenie kosztów utrzymania wspomnianych nauczycielek, wynosiła od d. 1-go Stycznia b. r. 3.424 rs.

— Na posiedzeniu Tow. Jedwabniczego, odbytem w d. 9 Lipca, zapisały się na członków tej pożytecznej instytucji p. p. Anna Hegner i Florentyna Zakrzewska. Na egzaminie słuchaczy tegorocznych kursów jedwabnictwa, wykładanych przez p. Kurtzową, otrzymały świadectwo uzdolnienia z teorii i praktyki p. p. Wanda Banzemerówna, Anna Hagnerówna, Marya Kurtzówna i Klementyna Zakrzewska.

— Marya ze Skirmuntów Twardowska dokonała dobrego czynu, przełożywszy z niemieckiego książeczkę pod tytułem „Gorzalka“. Treść jej opowiada ostatnim skreślonym tam wyrazom: „Precz z gorzalką! Panie i panienki ze dworu spełniłyby również dobry uczynek, dający im uznanie zasługi obywatelskiej, gdyby kosztem ich dobrej woli i niewielkiego wydatku grosza książeczkę tę rozpowszechniały między ludem. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Na niedobór pracy pań, a szczególnie panienek ze dworu, zaliczyć trzeba zamieszczoną w *Gazecie Świątecznej* z d. 24 Czerwca wiadomość o 24 wypadkach śmierci dzieci wiejskich, zostawionych samotnie w chatkach, lub bez żadnej opieki puszczonej samopas. Ochrona wiejska—to byle jaka izba i dozoreczyni, jaka uczeiwa stara kobiecina, której to zajęcie się dziećmi dawałoby kawałek chleba. Spis podany w *Gazecie Świątecznej* odnosi się jedynie do stron kaliskich.

— P. Bronisława ze Skłodowskich Dłuska, małżonka lekarza, otrzymała od uniwersytetu paryzkiego stopień doktora medycyny i została laureatką tegoż wydziału: „lauréate de la faculté“.

— Na ręce burmistrza Wiednia złożoną została przez lekarza D-ra Singera znaczna summa pieniędzy: 100.000 florenów, pochodząca z daru Józefy Schif, wdowy bezdzietnej, z przeznaczeniem rozdzielenia tych pieniędzy na instytucje dobroczynne w liczbie siedmiu wymienionych przez ofiarodawczynię.

— Zmarła w Pradze zasłużona społeczeństwu czeskiemu filantropka, Betty Lasch, za której trumną szedł wielotysięczny orszak ludzi wszystkich stanów i wyznań, a jeden z dzienników miejscowych napisał „Serce tkliwe i uderzające siłą uczuć wzniosłych bić przestało! Żal jest ogólny, bo zmarła była bogobojną, cichą, skromną niewiastą, która w zakresie działań czysto-kobiecych spełniała szlachetnie wysokie enoty społeczne. Dobroczytna, nie tylko przez datek grosza, przykładem swoim uczyła ludzi, jak kochać społeczeństwo, jak dla dobra jego pracować. Wierząca w Boga i w siły, które dał człowiekowi na to, aby, pracując, obowiązki swe spełniał, nigdy też nie wątpiła, aby dobre nie otrzymało zwycięstwa nad złem“.

— Na wystawie malarskiej w Peszcie wysta-

wiony szereg krajobrazów Kornelii Paczka, Słowaczki, zwrócił na siebie uwagę sędziów, którzy przyznali jej nagrodę pierwszą w oddziale krajobrazowym. Gdy przy jej wręczaniu przemawiający podnosił zalety uchwycenia stron piękna w widokach natury, ona odparła żywo:—Kocham tę naturę, jak ptak gniazdo swoje...

— W Kopenhadze zawiązało się stowarzyszenie kobiet z celem rozbudzenia w sobie poczucia piękna przez widoki natury i dzieła sztuki szlachetnej. Jako zasadę moralną stowarzyszenie stawia tu zdanie, że zdolność odczuwania piękna uszlachetnia człowieka i broni go od osunięcia się na poziom życia niski, gdzie spotykane bezprawie przedstawia bezład wstrętny. Stowarzyszenie zostało zawiązane lat temu parę w małym kółku piętnastu pań; obecnie liczy członków przeszło dwieście, a staraniem jego jest oddziaływać w przyjętym kierunku na kobiety klas niższych. Rozbudzenie smaku estetycznego nie dopuszcza widoku brudu, nieładu, w mieszkaniach najuboższych, gdzie wprowadza czystość oheďoźną, która wpływa na uzdrowotnienie warunków życia ludu, a wtedy wychowujące się tam dziecko, nie tylko rozwijać się będzie normalnie w warunkach życia higienicznych, ale ukochanie ładu moralnego przyszłe musi niemal koniecznie za ładem materialnym. W takim-to sensie przemawiała przy akcji zawiązania stowarzyszenia Adelaida Fluritt, mająca mu przewodniczyć.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż władze wyższe zwróciły uwagę na fakt, że w ustawach bankowych nie ma przepisu upoważniającego te banki do udzielania kredytu na zastaw maszyn, lub gmachów fabrycznych, co pozbawia część fabryki pozyskania w razie potrzeby kredytu. Zarządź ma temu odpowiednie rozporządzenie władzy.

— Reorganizacja najwyższych władz ministerium rolnictwa nastąpi wkrótce, jak zapowiadają dzienniki petersburskie. Prace wstępne są już ukończone.

— Na skarbowych kolejach żelaznych zaprowadzone będą do ruchu towarowego nowe parowozy angielskie.

— Ksiądz biskup Ruszkiewicz w asystencji duchowieństwa i licznego zgromadzenia pobożnych, poświęcił w kościele Ś-go Krzyża trzydzieści sześć ołtarzy przenośnych (altare portabile). Ołtarze te mogą być nabywane do kościołów i kaplic, wogóle wszędzie, gdzie nabożeństwo mszalne ma się odbywać.

— Niższa szkoła rolnicza ma powstać w Sobieszynie, włości należącej do War. Tow. Osad Rolnych. Do szkoły przyjmowani będą corocznie uczniowie w wieku od lat czternastu do osiemnastu, poczynając od 1-go do 5-go Stycznia, przyczem wymagana będzie od kandydatów nauka, odpowiadająca wykładom dwuklassowych szkół wiejskich. Uczniowie mogą być przychodni, opłacający 6 rs. rocznie, i pensjonarze, otrzymujący w szkole obok nauki całkowite utrzymanie i ubranie za opłatą roczną 100 rs. Oprócz tego Tow. Osad Rolnych płacić będzie za całkowite utrzymanie piętnastu pensjonarzy. Uczniowie szkoły sobieszynskiej korzystać będą przy odbywaniu powinności wojskowej z ulg III klasy.

— Powstał projekt otwarcia nowej szkoły technicznej. Jeden z wybitnych finansistów naszych zapewnił tej instytucji poparcie materialne, a Muzeum Przemysłu i Roinictwa zajmuje się wprowadzeniem zamiaru w życie.

— Towarzystwo pszczolnictwa i sadownictwa ma wkrótce już powstać. Ustawa uzyskała zatwierdzenie i odbywają się narady z celem wprowadzenia w czyn dobrego zamiaru.

— Wystawa higieniczna, zapowiedziana na rok przyszły, już się ukonstytuowała. Prezesem został dziekan D-r Brodowski, sekretarzem J. Polak, redaktor „Zdrowia“ i główny promotor takiejże wystawy w 1887 r. Na członków zarządu wezwano p. p. Cichockiego, Ciemnińskiego, Malinowskiego, Lasockiego, Rakiewicza, Rudnickiego, Sliwickiego, Sokala, Szumlańskiego i Tchórznińskiego. Komitetów liczyć będzie wystawa osiem, a dodać trzeba, że pomiędzy innymi mieścić się będzie wychowawczy, obok tego postanowiono utworzyć sekcję higieny wsi i miasteczek, co niewątpliwie zainteresuje ziemianki nasze.

— Znaczny dar złożony został na budowę kościoła Ś-go Karola na Powązkach. Brak funduszków opóźnił posuwanie się roboty, gdy p. Gustaw Tosiński, właściciel dóbr Rysiów w powiecie lubartowskim złożył komitetowi budowy 20.000 rs. na zbudowanie bocznej kaplicy i pod nią grobu sklepionego, gdzie chowane być mają zwłoki członków rodziny Tosińskich, lub osób wskazanych przez niego, a potem przez jego spadkobierców.

— Do kościoła Ś-tej Anny w mieście naszym (po-bernadyńskiego) wykonaną została monstrancja w stylu gotyckim, do której projekt skreślił ś. p. Jan Kryński. W głównym korpusie monstrancji widzimy nasz ostrołuk, naśladowający ostrołuk także w wileńskim kościele Ś-tej Anny. Części górne, wieżyczkowe, trzymane są w stylu gotyku francuskiego.

— W taniem wydaniu zeszytowie zaczęły wychodzić we Lwowie „Arcydzieła Szekspira“ w przekładach Paszkowskiego, Keźmiana, Kasprowicza. Pierwszy zeszyt obejmuje początek dramatu „Romeo i Julia“.

— Przygotowania do wystawy paryzkiej, mającej się odbyć w 1.900 r. na Polu Marsowem, już pobudzają do rozmaitych projektów uczynienia jej zajmującą przez przedmioty wystawowe, tak w rodzaju swym oryginalne, jak poprzednio wieża Eiffel. Deputowany Deloncle zaproponował zbudowanie olbrzymiego teleskopu, przez który możnaby oglądać księżyc tak, jak gdyby był oddalonym od nas o metr jeden przestrzeni. Zarazem proponowanem jest odlanie olbrzymiego dzwonu, któryby był zawieszony na wyniosłej wieży, zbudowanej na miejscu dawnego pałacu Tuileries, a któryby potężnym dźwiękiem uderzającego w nim serca obwieścił otwarcie wystawy szeroko i daleko. Astronom Flammarion wraz z dwoma deputowanymi, Lesant i Franciszkiem Laur, pragną urządzenia wystawy astronomii, jej postępów i odkryć, do których doszła, zdobywając sobie wiedzę otaczających ją planet — światów, wśród których krąży ziemia. Projektowanem jest zarazem urządzenie balonu, któryby wznosił się na 900 metrów ponad ziemię.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego, T. II, ark. 8 i 9.

TREŚĆ: Wakacye, przez M. I.—Tajń, przez Miriana. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Co słyhać w rodzinie Połanieckich. II. — Corregio (Antonio Allegri). — Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8 i 9 T. II, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — Przegląd mód.—34 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.